

Ze starych szpalt czasopisma „Sodalis Marianus”

Pouczające porównanie

Prasa przedwojenna stanowiła dla nas interesujące źródło informacji z życia państwa i społeczeństwa polskiego w okresie II niepodległości. Ówczesne obozy polityczne, aczkolwiek stanowiły zwarty i jednomyślny front w walce z klasą robotniczą, w mobilizowaniu opinii publicznej przeciwko Zw. Radzieckiemu budującemu u siebie socjalizm, w inspirowaniu „krucjaty antyradzieckiej” — na własnym, klasnym podwórku, w dążeniu do władzy i „rządu dusz” — skakały sobie do oczu i niedyskretnie ujawniały na łamach prasy zakulisowe afery przeciwników, celem pogrążenia ich i zdobycia tym sposobem sympatii społeczeństwa. Tak więc jedni „zbawcy ojczyzny” obarczali drugich odpowiedzialnością za równie pochyłą, po której systematycznie słabowało państwo polskie tak pod względem politycznym, jak gospodarczym i społecznym.

Dzięki temu, w prasie wszelkich odłami z tamtych lat znaleźć możemy tu i ówdzie, ujawnione w zaperzeniu okrucieństw i sytuacji w jakiej żyły wtedy masy pracujące Polski, naród polski, oszukiwany i wyzyskiwany przez obcy i rodzimy kapitalizm, zatruty jadem stopniowej faszystacji.

„Sodalis Marianus”, czołowy organ Sodality Marianów w Polsce, chociaż formalnie odzignął się od polityki, jako rzecznik spraw „nie z tego świata” — poświęcał jej w rzeczywistości całe szpalty, popierając każdą reakcyjną inicjatywę — niezależnie od obozu, z którego pochodziła. Z własnej strony otwarcie propagował ustrój faszystowski, korporacyjny, licząc na to, iż ten właśnie ustrój zmiecie z powierzchni ziemi niosący wyzwolenie klasie robotniczej socjalizm i jego twierdzą — Związek Radziecki.

W numerze październikowym z roku 1935 miesięcznika „Sodalis Marianus” — w rubryce „Sygnały” znajdujemy taki oto artykuł — okrucieństw — z którego wyjątki zamieszczamy poniżej.

Tragiczne położenie szkolnictwa polskiego (str. 305)

„Olbrzymimi krokami schodzimy, za mało — zlatujemy spowrotem w stan barbarzyństwa. Analfabetyzm wzrasta u nas z zaskakującą szybkością. Gdy w roku 1928 poza szkołą znajdowało się 300.000 dzieci, to dziś jest już ich ponad milion. A do tego miliona trzeba dodać grube tysiące tych, które od roku 1928 już wyszły z obowiązków szkolnych i tysiące tych, które są zapisane do szkoły, ale z powodu strasznej nędzy wsi do niej nie uczęszczają. Ale nie koniec na tym. W roku szkolnym 1933/34 szkół najniższego stopnia, tj. jednoklasowych, było w Polsce 45 proc., czyli, że na 3.333.388 dzieci wiejskich, zapisanych do szkół wszelkich stopni, prawie połowa, to jest 1.689.000 — uczęszczała do szkół pierwszego stopnia.

A jak te szkoły wyglądały, wystarczy przytoczyć następujące zestawienie: w klasie pierwszej tego stopnia przypada tylko 5 godzin na tydzień nauki głosnej (3 języka polskiego i 2 rachunków).

Pięć godzin nauki głosnej mu si wystarczyć dziecku wiejskiemu, gdy dziecko miejskie, zwykle lepiej rozwinięte, ma dla przerobienia tego samego materiału 16 a nawet 18 godzin.

I znowu gdy po miastach przypada na jednego nauczyciela 60 dzieci (co już jest anormalnie dużo) to po wsiach w roku 1933/4 było szkół 6.238, w których na jednego nauczyciela przypadało 80-120 uczniów, 2.233 szkół, w których na jednego nauczyciela przypadało 120-140 dzieci, a nawet było 678 szkół z przydziałem 211 do 230 dzieci na nauczyciela. Nie można nauczyć i nauczyć się w takich warunkach, przy dzisiejszej nędzy wsi, jaką będzie miała wartość i jaką trwałość taka nauka — nie potrzeba udawać.

„W roku 1931/2 było 711 szkół dokształcających z 103.927 uczniów, dwa lata później pozostało tych szkół już tylko 641 a w nich 79.954 uczniów. Te liczby nabiorą właściwych kolorów, jeśli dodamy, że w bieżącym roku szkolnym powinno pobierać naukę dokształcającą 1.999.700 uczniów... Nowa organizacja szkolnictwa przez swą wielostopniowość utrudnia młodzieży wiejskiej kształcenie się. Ze szkoły jedno- lub dwuklasowej trzeba wędrować dalej do miejscowości mającej szkołę sześcioklasową. Ze szkoły sześcioklasowej trzeba wędrować dalej do miasta posiadającego gimnazjum, a potem jeszcze do

miasta posiadającego liceum, których liczba będzie bardzo ograniczona.

Takie wędrowanie z miasta do miasta nawet w okresie względnego dobrobytu wsi byłoby połączone z wielkimi trudnościami, w okresie zaś rosnącej nędzy, że znowu wrócimy do tego czynnika — prawo kształcenia się czyni po prostu fikcyjnym. Dziecko wiejskie ma dziś faktycznie drogę zamkniętą do gimnazjum i na uniwersytet. Stanelimy na płaszczyźnie pochyłej, wiodącej ku barbarzyństwu...”

*

Tyle „Sodalis Marianus”.

A cóż my na to?

Odpowiedź jest prosta.

Budujemy nowe szkoły po wsiach i miastach, niezliczone, nowe szkoły podstawowe, średnie, licea, zawodowe, wyższe.

Zlikwidowaliśmy na wsi jedno- i dwuklasówki, wkrótce zlikwidujemy wszystkie szkoły o niepełnych latach nauczania. Podczas gdy w roku 1935/36 jedynie 126.700 absolwentów zdołało ukończyć siedmio- lub sześcioklasową szkołę powszechną — w roku 1951 szkoły podstawowe opuściło 340.500 absolwentów.

Uczymy ostatnich analfabetów.

Każde dziecko polskie ma faktyczną możliwość kształcenia się — bez względu na finansową sytuację rodziców, gdyż nauczanie jest bezpłatne.

W roku 1951 już 41.700 młodzieży naszej ukończyło szkołę średnią, czyli prawie 3 razy więcej, aniżeli w roku 1935/36.

Dajemy młodzieży stypendia, bursy, internaty, pomoce naukowe, opiekę lekarską, najzdolniejszych wysyłamy na studia do najpoważniejszych ośrodków naukowych państw zaprzyjaźnionych. Niezmierznie szybko wzrasta też liczba absolwentów wyższych uczelni. W roku 1951 przekroczyła ona odpowiednią liczbę roku 1950 o 63 proc. A nie zapominajmy, że w kapitalistycznym — obszarnej Polsce, w roku 1935/36 wyższe uczelnie zdołało ukończyć zaledwie 6.150 osób, czyli mniej niż jedna trzecia liczby z roku 1951.

Dajemy dzieciom i młodzieży prawdziwe wakacje, ongiś przytłaczającej wielkości nie znane, wakacje na wsi, nad morzem, w górach, na półkoloniach, koloniach, obozach — dostępnych dla wszystkich.

Kształcimy nowe, kadry nauczycielstwa, bezustannie podnosimy poziom nauczania.

Drukujemy z roku na rok więcej milionów podręczników i lektur szkolnych.

Udostępniamy dzieciom i młodzieży najwspanialsze pomniki literatury i sztuki, kultury narodowej.

Dzieci polskie wychowujemy na świadomych i pełnoprawnych obywateli naszej Ludowej Ojczyzny.

Tak jak było — nigdy już nie będzie!

WANDA BIELAWSKA



Dla dzieci tylko książki najlepsze

Poczytaj mi, mamo!

Stanisław Krokowski

W „Dniach Oświaty, Książki i Prasy” odważyłem się na daleką wyprawę w czasy minionie, w okres „sielskiej i anielskiej młodości”. Młodości mojej towarzyszyła książka. Najpierw były to bajki, potem opowiadania, przygody czerwonoskórych, sensacje.

Książki były wówczas szare, monotonne w graficznym typie, postrzępione. Bohemajski rysunkowy przerazić mogły najodważniejszego. Książki pożyczano się z nielicznych bibliotek, rzadziej od bogatszych kolegów. Czasem czekało się na wytykioną powieść tygodniami.

Dzisiaj każdy miłośnik książki raduje się szczerze, że przestała ona być skarbem nieosiągalnym. Że jest dostępna i dla dorosłego i dla dziecka, jak codzienny chleb i tani jak on, że barwna i wysoce artystyczna szata graficzna wabi młodość z każdej księgarni i witriny.

Przeglądam śliczną książeczkę dla dzieci Ewy Szelburg-Zarembiny. Książka nosi tytuł „Śladem gołębi”, a ozdobiła ją pomyslowymi i wysoce artystycznymi ilustracjami Maria Mackiewicz. Czytamy: „Pierwszy to raz na ziemi ludzie są przeciw wojnie tak liczni i tak silni, ty w przyszłość patrz spokojnie”.

Na czerwonych sztandarach, wypróbowanych w boju, zwycięskie rozpiął skrzydła biały gołąb pokoju”.

To bardzo dobra artystyczna robota — myślę sobie! z gorączkową pasją szperać z przechodzą od książki do książki. Oto w tłumaczeniu Tuwima kusi wzrok pięknymi ilustracjami Marcina Szancera, książka o tajemniczym tytule: „Uzum — Angur — Enab — czyli towarzysze podróży”. Jaką prawdziwą, nieklamana poezją i miłością ludzkości tchnie ta przypowieść wschodnia: „Okłamywany długie wieki lud ludem gardził, z braci szedł, Turkmen się znechał nad Uzbekiem, Tadżik Turkmena nienawidził, Turk myślał: „Zarzęń Ormianina w nim wszystkich moich cierpień wina.”

I przyszedł Lenin — i miliona Szczęścia i prawdy wskazał drogą A Stalin ludy wyzwolił

w braterstwo złączył nie-wzruszone, przeciw złowieszczym siłom wrogim. Różnojęzyczni przyjaciele zgodni są duchem, zgodni celem.”

Lecz już wabi „nnie książka Aleksandraka, z ilustracjami Sopoeki: „Wielki Plan”. W radosny, młody rytm układają się słowa:

Wciąż wyżej, wyżej i prędzej, nasz roznach zadzwia świat! Praykład i pomoc w budowie daje nam Związek Rad.

Stoneczne domy, mosty, fabryki radują serca i oczy. Musimy Planem w czyn zamienionym lata niewoli przeskoczyć.”

Dzisiejsza książka dziecku polskiemu mówi o sprawach najistotniejszych, którymi żyje cały naród. Mówi mu pięknie i prosto o życiu, jego wartości, o pracy i trudzie roboczym, o jasnej przyszłości. Dzisiejsze książki młodości są świeże i jasne. Cieką serca i oczy. A jaki wybór! Jest i „Świat w obrazach”, książki obrazkowe dla najmłodszych, pozbawione prawie tekstów, w których główny nacisk położono na rysunek, jest cykl „Poczytaj mi, mamo”, zapożyczający dziecko z całokształtem otaczającego go życia, jest biblioteczka miniaturowych powieści o żywej akcji, pod tytułem „Od książeczki do biblioteczki”, jest wreszcie olbrzymi wybór książek dla dzieci i młodzieży.

Dawniej, tak zwana literatura dziecięca była terenem upośledzonym. Wyżywały się w „opowieściach dziecięcych” starsze paniusie, grawitujące ku grafomanii. Dziś w służbę literatury dla dzieci i młodzieży ruszyli nasi najlepsi pisarze i najlepsi graficy. Książki dla dzieci piszą: Brzechwa, Tuwim, Ewa Szelburg-Zarembina, Szpaliski, Grodzienka. Najlepsze pióra tłumaczą pierwszorzędną utwory bogatej dziecięcej literatury narodów radzieckich. Polskie dzieci poznały już Czaruszyńską, Trutniewą, Kononową, Szwarca, Marszaka, Puszkina, Karnauchową, Michałkowską, Gajdara, Nagiszkina, Gorkiego.

Książki dla dzieci ukazują się w 50 tysiącach egzemplarzy, w liczbie dla czasów międzywojennych, bajkowej i nieosiągalnej! Bo dziś już rozumiano, że młodego czytelnika lekceważyć nie wolno, że musi on otrzymać lekturę najbardziej wartościową.

Dziś nie ma „nieprzebytych gór”

List z Rumunii

Bukareszt, w maju
Maramuresh było zawsze oddzielone od reszty świata nieprzebytym łańcuchem gór. Tylko wartkie wody górskich potoków torowały sobie drogę wśród skał. Nie mogła natomiast przedostać się przez ten granitowy mur ani oświata, ani cywilizacja. Rządy burżuazyjne międzywojennej Rumunii nie zadały sobie trudu, aby połączyć tę zapomnianą i zaniedbaną część kraju liniami komunikacyjnymi, aby zatroszczyć się o stan zdrowotny ludności, aby zbudować tu szkoły i ożywić kopalnictwo. Głód, nędza i choroby, oraz szerzące się w tych warunkach przesady i zabobony były udziałem ludu, zamieszkującego surową i piękną kotlinę Maramuresh.

Z pokolenia na pokolenie młodzież i starsi schodzili do kopalni, aby przy pomocy najprymitywniejszych narzędzi wyrywać skałom cenny surowiec: rudę. Walka ze skałami była ciężka i wolno posuwali się pod ziemią górnicy. A cynk, ołów, miedź sprowadzała Rumunia z zagranicą. Lepiej bowiem opłacać się kapitalistom import niż inwestycje w kopalnie, niż szukanie nowych złóż, niż unowocześnianie pracy pod ziemią.

Wielu górników w Maramuresh było bez pracy. Ci, którzy pracowali — rujnowali zdrowie w zabójczych warunkach. Głodowali jedni i drudzy.

Ludowe podania mówiły o ukrytych w ziemi beczennych skarbach, lecz ludzie mieszkający w ich pobliżu umierali z głodu.

Nadeszły jednak czasy, gdy do Maramuresh przyjechali „czarodzieje”, którzy zaczęli dziwnymi narzędziami wiercić w skałach skorupki ziemie, którzy rozrywali ją przy pomocy eksplozji. Była to ekipa geologów. Podania ludowe przekształciły się w rzeczywistość — we wnętrzu ziemi znalaziono skarby: złoto i srebro, cynk i miedź, mangan i kaolin.

Dawne rządy przez dziesiątki lat nie potrafiły sforsować „nieprzebytych” skał. Już w pierwszych latach władzy ludowej okręg Maramuresh połączony został z resztą kraju wykutą w skałach przez ochotnicze brygady młodzieżowe li-

nią kolejową Salva-Viseu. Znalaziono też drogę, którą może przedostać się dzisiaj bez trudu do tego zapomnianego zakątka — oświata, postęp, kultura. Drogą tą jest... ustrój ludowy, ustrój, w którym nie będzie okęgów zaniedbanych i uprzywilejowanych, lepszych i gorszych. Millionowe inwestycje przeznacza Rumuńska Republika Ludowa na podniesienie poziomu takich „kopciuszków” dawnego reżimu, na przywrócenie życia im wespół wymarłych okęgów.

Maramuresh dźwięczy dziś warkotem maszyn. W kotlinie, w zagłębiu metalowym — panuje ożywiony ruch. Wagony za wagonami wywożą rudę. Wagony za wagonami przywożą na miejsce, do kopalń nowoczesne maszyny, dzięki którym człowiek może panować nad skałą i bez wysiłku wyrywać wewnątrz ziemi beczenne skarby. Kolorowe metale, sprowadzane dawniej z zagranicy, wydobywa się dzisiaj w nowych kopalniach kraju, zaopatrując w ten sposób rozwijający się przemysł rumuński.

„Nieprzebyte góry” sforsował w nowym ustroju nauczyciel, lekarz, agrotechnik i elektromonter. W wielu wsiach zabłysło już światło elektryczne i zadźwięczały głośniki radiowe. Z każdym dnem poprawia się stan zdrowotny ludności, śmiertelność dzieci spada do połowy w stosunku do okresu przedwojennego. 33 wiejskie domy porodowe wyparły działalność „babek” 48 ośrodków zdrowia, gabinety dentystyczne, prewentyoria, szpitale, prowadzą skuteczną walkę z chorobami.

W nowych ośrodkach przemysłowych, w Birsu, w Viseul de Sus, w Nasaud, w Rodna, przy nowouruchomionych fabrykach i kopalniach powstały nowoczesne osiedla mieszkaniowe.

Chłopi Maramuresh mawiali dawniej: „U nas nie rośnie ani zboże, ani jarzyny”. A dzisiaj przy pomocy nowych metod agronomii, przy pomocy maszyn rolniczych, dostarczanych chłopom przez stacje maszynowo-tractorowe, jałowa dawniej ziemia daje piękne plony.

W Maramuresh zaczęło się prawdziwe życie.

Petru Mateiescu

W myśl hasła rzuczonego swego czasu przez wybitnego uczonego, Wawilowa, nauka — w krajach demokracji ludowej — nie jest zamknięta w pracowni uczonych, lecz styka się czynnie z codziennym życiem, prowadząc do interesującej i korzystnej wymiany wzajemnych doświadczeń: nauki i praktyki. Jednym z tych wybitnych ludzi Polski Ludowej, który owo hasło Wawilowa zaczął pierwszy realizować w praktyce, jest inż. Witold Biernawski, profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Jego to dziełem jest powstanie w Polsce pierwszych klubów współpracy naukowców z robotnikami, oraz czynna pomoc dla racjonalizatorów i nowatorów spośród robotników.

Kariera naukowa Biernawskiego już z góry predestynowała go do takiej roli. Ma bowiem za sobą zarówno teoretyczne studia na Wydziale matematyczno-fizycznym Uniwersytetu Warszawskiego, jak i inżynierię na Wydziale mechanicznym Warszawskiej Politechniki, gdzie przez kilkanaście lat wykładał zasady mechanicznej obróbki materiałów.

Swą pedagogiczną działalność prof. Biernawski kontynuował w Warszawie na tajnych kursach politechnicznych podczas okupacji hitlerowskiej, co w rezultacie zawiadło go w roku 1944 do więzienia na Pawiaku.

Po wyzwoleniu kraju Biernawski przeniósł się do Krakowa, gdzie obejmuje katedrę mechanicznej obróbki materiałów na Akademii Górniczo-Hutniczej. Równocześnie organizuje wydziały politechniczne w Krakowie oraz Politechnikę Śląską.

Od roku 1948 do 1951 jest prorektorem AGH a ostatnio także naczelnym dyrektorem Instytutu Obrabiarek i Obróbki Skrawaniem, instytucji naukowo-badawczej, mieszczącej się w gmachu AGH.

Gdy w roku 1949 Polska wysłała do Związku Radzieckiego oficjalną delegację naukowców dla zbadania i zapoznania się z radziecką nauką i wyższym szkolnictwem, prof. Biernawski bierze w niej udział i przywozi do kraju wiele nowości i doświadczenia radzieckiego na polu nauki i techniki.

Na Pierwszym Kongresie Nauki Polskiej Biernawski pracuje w charakterze przewodniczącego sekcji Budowy Maszyn i Technicznej Mechaniki.

Jako uczonego — Biernawski w roku 1935/36 brał udział w polskiej wyprawie na Szpicbergen, gdzie nakręcano film naukowy. Spod jego pióra wyszło naukowe dzieło „Obróbka metalu skrawaniem”.

Osobna wzmianka należy się prof. Biernawskiemu ja-

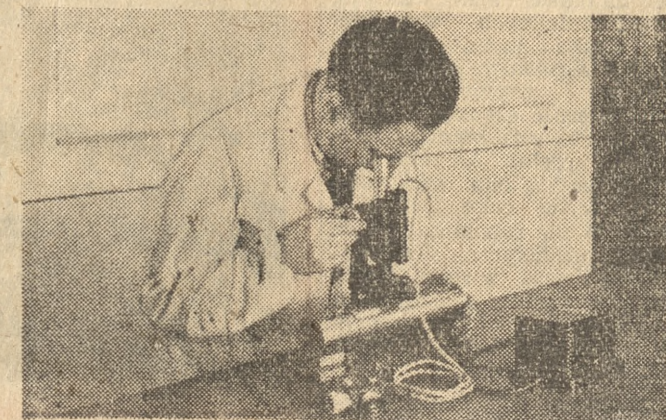


Prof. Biernawski (z lewej) w rozmowie z racjonalizatorami

ko autorowi wynalazków na polu przyrządów naukowo-badawczych, mających wielkie znaczenie dla techniki i przemysłu polskiego. Jednym z przyrządów przez niego obmyślonych i skonstruowanych, jest tzw. „gładkościomierz optyczny” czyli przyrząd do badania gładkości obrabianych powierzchni metalowych a to metodą „cieni”.

Zależnie od wielu okoliczności, związanych z procesem obróbki, powierzchnia np. obtaczanego wałka sta-

lowego, może być mniej lub więcej gładka. Przyrząd Biernawskiego pozwala bardzo



Badanie powierzchni obtoczonego wałka za pomocą gładkościomierza Biernawskiego.

szybko, a przy tym ściśle, albo okiem, albo w drodze zdjęcia fotograficznego odczytać liczbę gładkości powierzchni, czyli gładkość i gęstość rowków, pochodzących od pracy skrawania materiału ostrzem noża tokarskiego. Na naszym zdjęciu widzimy przyrząd w czasie badania okiem gładkości stalowego wałka.

Drugi przyrząd Biernawskiego, to siłomierz elektromagnetyczny. Przy dziesięciu metodach szybkościowej obróbki metalu skrawaniem, na nóż tokarski są wywierane podczas pracy bardzo wielkie siły. Dla ustalenia najlepszych metod pracy jest rzeczą konieczną posiadać urządzenie, które szybko i pewnie może zorientować nas co do wielkości odczynu siły. Jest nim wspomniany drugi przyrząd wynalazku prof. Biernawskiego, a wykonany w Warsztatach Mechanicznych wspomnianego Instytutu.

Instytut Obrabiarek i Obróbki Skrawaniem, stojący pod kierownictwem Biernawskiego, jako naczelnego dyrektora, ma za zadanie ulepszać dawne i konstruować nowe obrabiarki na użytek polskich fabryk oraz zaprowadzać w przemyśle nowoczesne metody obróbki. Tak np. dzięki zbiorowym pracom zarówno dyrektora Biernawskiego jak i całego zespołu inżynierów i robotników warsztatowych opracowano i skonstruowano urządzenie do nacinięcia gwintów metodą szybkościową.

W specjalnie do tego celu skonstruowanej głowicy umieszcza się kilka noży z płytkami ze spieków, które nacinają od razu pełny rowek gwintu za jednym przebiegiem, czysto i dokładnie, a wiele razy prędzej, niż metodami starymi.

Wspomniane płytki ze spieków, czyli z węglików pewnych metalu są bardzo twarde i wytrzymałe na temperaturę. Niemniej jednak wskutek szybkościowego tempa obróbki, nawet taki materiał, zbliżony twardością do diamentu, tępi się po pewnym czasie tak, że nóż wymaga ostrzenia.

I tu znów, wspomniany Instytut wypracował specjalną ostrzarkę, gdzie wyrugowano używanie płyt ściernych z karborundu, a twarde spieki ostrzy się na... miękkiej sta-

lowej tarczy dzięki zastosowaniu elektro-erozyjnego działania iskry elektrycznej przy użyciu płynnego elektrolitu. Metoda ta, i prototyp ostrzarki, to znów produkt pracy całego zespołu inżyniersko-robotniczego z dyr. Biernawskim na czele. Ostrzarka w ciągu paru minut ostrzy i wygładza najtwardsze spieki, i co najważniejsze, nie wymaga drogich, deficytowych, sprowadzanych z zagranicy, tarcz karborundowych.

Dzięki olbrzymiej pracy Biernawskiego, którą tu zaledwie w zarysach można naszkicować, przemysł polski, walczący o wykonanie

planu, znajduje w różnych dziedzinach wybitną pomoc: szkolenie nowych sił technicznych, budowa aparatów naukowo-badawczych, nowoczesne metody pracy, nowe obrabiarki i narzędzia do mechanicznej obróbki metalu itd. itd.

Toteż nie dziw, że Biernawski został już odznaczony złotym krzyżem zasługi i sztabandem pracy I klasy. W ub. roku otrzymał nagrodę państwową w dziale postępu technicznego. Ostatnio zaś został zamianowany członkiem Polskiej Akademii Nauk.

E. Białoborski

Począwszy od Santoka aż po Oborniki rozciąga się olbrzymia puszcza, stanowiąca prawie jednolitą masę leśną o powierzchni 120.000 ha zwany „Puszczą Międzybuzką”. Oryginalnością tej puszczy w chwili obecnej jest charakterystyczny, nierzadko niespotykany, jednogatunkowy i prawie jednowiekowy skład drzewostanów.

Zwiedzającemu ten olbrzymi kompleks lasu, rozciągający się na przestrzeni z górą 100 km podpada brak urozmaicenia spotykanego w innych lasach, a składającego się z niebotycznych dębów, buków, świerków i pachnącej daglezi. Kraży tam się jedynie wśród jednolitych młodników lub drągów sosnowych, w licznych wypadkach nawet mało wartościowych, nie wiele obliczających na przyszłość cennego surowca tartacznego lub innych sortymentów tak bardzo potrzebnych w przemyśle drzewnym.

Jeszcze 30 lat temu charakter puszczy był odmienny. Panowało tam urozmaicenie pod względem wieku drzewostanów na przemian młodszych i starszych. Wprawdzie teren silnie pagórkowaty, o glebie składającej się przeważnie z ubogich piaszków, nie pozwalał na osiedlenie się różnych gatunków liściastych, ale zagospodarowanie tej puszczy było wówczas jeszcze zupełnie normalne, przynoszące rocznie stałe zyski. W roku 1922 pojawił się jednak groźny dla lasów sosnowych owad zwany sówką — chojnówką, obdarzony nadzwyczaj silną dynamiką rozrodczą, który żerując przez następne dwa lata 1923 i 1924 dokonał olbrzymiego spustoszenia, zamieniając lasy w jedno cmentarzysko.

Wśród innych groźnych szkodników sosny sówka — chojnówka wyróżniła się nadzwyczajną żarłocznością, ponieważ w pierwszej fazie swego żeru rzuca się na pączki, znajdujące się na końcach gałązek, z których w normalnych warunkach wyrastają nowe pędy z igliwem. Drzewa pozbawione igliwia, głównego organu, sprawującego funkcje fizjologiczne, utraciły siły żywotne i obumierały. Zwykle w takich okolicznościach pojawiają się jeszcze inne owady, żerujące pod korą żyjących, lecz osłabionych drzew, zadając im ostatni cios. Niszczycielski owad nawiedził wówczas również inne okolice Wielkopolski, czyniąc podobne spustoszenia, choć już w znacznie mniejszym rozmiarach pod względem powierzchniowym.

Nauka leśna w oparciu o doświadczenia, które zrobiła od owej klęski duże postępy. Naukowcy z różnych metod walki z wrogami drzew leśnych, prowadzi się zabiegi profilaktyczne, a w razie potrzeby walkę bezpośrednią ze szkodnikiem przez niszczenie go mechanicznie a nawet chemicznie. Niedawno temu minęła dość szczęśliwie inwazja mniszki, rozprzestrzenionej prawie po wszystkich lasach Wielkopolski, a tu zapowiada się nowa groźba: małe owadki rozmnożone tej samej sówki i towarzyszących jej innych owadów jak borecznika, poprocha cetyniaka i miejscami osnu.

Zdając sobie sprawę ze zbliżającego się niebezpieczeństwa, administracja leśna wczas przystępuje do działań obronnych, opracowując plany walki na przyszłość. Jedyną metodą przeciwdziałania masowemu pojawianiu się szkodników jest stosowanie zabiegów profilaktycznych dla stworzenia niekorzystnych warunków rozwoju owadów z równoczesnym dążeniem do uodpornienia środowiska, czyli walka biologiczna. Szkodliwe owady, jak każde inne stworzenie żyjące ma swoich wrogów, którym według praw przyrody służyć musi swym bytem i życiem. Są też owady jak np. mrówki, które łowią szkodliwe gasienice dla siebie na pokarm. Wreszcie ptaki pożyteczne, zamieszkujące lasy i tyle wychwalane jako główni sprzymierzeńcy człowieka w trosce o zdrowotny stan lasu oraz dziki pożerające miliony larw szkodliwych owadów leśnych.

Groźnie zapowiada się na najbliższą przyszłość sytuacja lasów Wielkopolski, które ponoszą corocznie duże straty na skutek pożarów, wobec czego kierujemy apel, by każdy obywatel przejął się troską o las i był jego sprzymierzeńcem. A zatem: nie niszczyć mrowisk, nie niszczyć gniazd ptaków pożytecznych, ich jajek i piskląt, nie palić ognisk w pobliżu lasu, nie palić papierosów w czasie pobytu w lesie w porze ciepłej, by przez niedbalstwo i bezzmysłowość nie rzucić niedopałka w suchą trawę lub ściółkę leśną, nie wyrzucać niedopałków przez okno pociągu, przebiegającego przez tereny zadrzewione...

Ludzie dojrzały i młodzież dorastająca niech rozpowszechniają powyższe zasady na swych zebraniach towarzyskich, naradach gospodarczych i społecznych, oraz w domu wśród dzieci, przez co będą pomocni wychowawcom szkolnym, którzy ponoszą wiele trudu w akcji uświadamiającej w szkołach, prowadząc cały rok lekcje o tematyce poznawania wartości przyrody, jej umiłowania oraz znaczenia lasu. Dla uchronienia drzewostanów przed szkodami ze strony różnych owadów i pożarów, przeprowadza się rokrocznie w lesie najrozsądniejsze zabiegi, pochłaniające olbrzymie koszty. Zabiegi te są przede wszystkim potrzebne w wielkich kompleksach leśnych, tworzących jednogatunkowe sosnowe drzewostany.

Było wielką wadą gospodarki kapitalistycznej, która idąc po linii najmniejszych trudności prowadziła na olbrzymich obszarach produkując tylko jednolite sosny, nie licząc się z następstwami groźnych katastrof, powodowanych przez sówkę — chojnówkę i inne owady, którym właśnie taki jednostajny charakter lasu najwięcej sprzyja. Toteż dziś do obowiązków leśnika należy czuwanie, a do obowiązków społeczeństwa włącznie się do współpracy przez solidarność i lojalne nastawienie do przedsięwzięć administracji leśnej, dyktowanych troską o ochronę i byt naszych lasów.

NATROPACH

Jeszcze ludzkość nie ochłodziła się z rzuconych bombach atomowych na Hiroshimę i Nagasaki, a już ponownie przeżywa potworny straszak, na skutek zastosowania przez Amerykę — pod flagą ONZ — broni bakteriologicznej. Jest faktem bezspornym, że Stany Zjednoczone od dawna przygotowywały się do użycia środków bakteriologicznych, a ich kółka oficjalne nigdy się z tym specjalnie nie kryły. Ostatni wykwit amerykańskiego systemu masowego ludobójstwa — oraz najwyższy symbol jankesowskiego sposobu ułatwienia życia — w którym człowiek, jako dobro najwyższe — został sprowadzony do zera. Filozofia strategów atlantyckich, według której stosowanie środków masowego likwidowania ludzi pozwala zachować wszystkie inne dobra materialne przeciwko, nie niszczenia ich zupełnie. Wszak światopogląd przywódców Pentagonu, Kapitolu i Departamentu Stanu w oparciu o światoburczą teorię Burnham'a uważa, że oni właśnie powołani są do zapanowania nad światem. Jeden z jego wyznawców prof. uniwersyteku w Harvard, Mr. Lewis Mumford, członek najwyższej rady wycho-
wania Nowego Jorku już dawno wypowiedział zdanie, że „strategia Stanów Zjednoczonych zasada się na planie i metodach globalnego wytracenia ludzkości w razie nowej wojny” („New York Herald Tribune” 16 VII 1949 r.)

Pierwszą wzmianką historyczną dotyczącą stosowania chorób zakaźnych jako środków masowego ludobójstwa spotykamy w Ameryce w roku 1763. Znajdujemy ją w korespondencji wymienionej między gen. Amherst'em oraz jego podwładnym pułkownikiem Bouquet'em, w okresie wojny prowadzonej z wodzami Indian Potomac'em, kiedy to w celu szybszego wyplenienia całego plemienia indiańskiego, przydzielono mu konie oraz ubrania z zarysami na ospe. Na marginesie tego pierwszego bakteriologicznego ludobójstwa należy dodać, że równocześnie zgłoszony został do rządu amerykańskiego oficjalny projekt doszczętnego wyniszczenia rdzennych mieszkańców Nowego Łądu.

Okres pierwszej wojny światowej dostarcza niejednych wzmianek o stosowaniu w tym czasie broni bakteriologicznej. Jeden z amerykańskich raportów zawiera dane oficjalne z roku 1915, dotyczące działalności agentów niemieckich, którzy rozlewali na placu nieprzyjaciela choroby epidemiczne między bydło i konie, przywołane ze Stanów Zjednoczonych do Europy.

Kroniki wojenne notują w 1916 roku nagłą ewakuację niemieckiego personelu dyplomatycznego z Bukaresztu. Po odjeździe w gmachu poselstwa znaleziono 6 próbek z kulturami chorób zwierzęcych, wraz z dołączonym przebiegiem ich praktycznego stosowania. Nota głównej kwatery wojsk francuskich nr 4367, z dnia 17 III 1917 r. zawiadamia wszystkie jednostki wojskowe, że przy utrzymaniu agencji niemieckich należy zwrócić uwagę na bakterie, które przetrwały w kwaterze niemieckiej, przetrwały w kwaterze niemieckiej, przetrwały w kwaterze niemieckiej.

W książce pt. „U progu wojny”, która ukazała się w 1934 r. angielska autorka Dorothy Woodman przytacza obszernie materiały dotyczące historii doświadczeń Hitlera oraz przygotowywania przez niemieckich „panów świata” wojny bakteriologicznej. Podaje m. in., że centrum dla badań sposobów i metod prowadzenia wojny bakteriologicznej, był Rządowy Instytut Roberta Kocha w Berlinie. Już w roku 1933 instytut ów rozciągał pismo okólnie do wszystkich najważniejszych ośrodków badawczych w Niemczech, omawiające studia i formy uzyskiwania kultur chorób epidemicznych. Wprawdzie dokument został oficjalnie wycofany, niemniej w tym samym czasie niemiecki profesor Banse napisał książkę pt. „Wiedza i wojna”, w której podkreśla konieczność systematycznych studiów nad bronią bakteriologiczną. Według jego słów: „Należy umieć wprowadzić do wody służące do picia bakcyle dżumy, daleko rozprzestrzeniać choroby epidemiczne za pomocą wody, pszczoł i szczurów”. Szczególną rolę przypisuje w przyszłej wojnie samolotom, które będą miały za zadanie prze-

noszenie szeregu chorób na zaplecze wroga.

Fakt ciągłości badań uczonych hitlerowskich potwierdził w roku 1946 proces gorymberski, podczas którego sądzono zbrodniarzy wojennych. Niesłychanie rewelacyjnym wyjaśnieniem na temat zaawansowanych przygotowań sztabu Hitlera w tym kierunku, udzielił trybunałowi Walter Schreiber — profesor bakteriologii z Berlina, który był na usługach zbrodniczych planów niemieckiego faszyzmu. Przyznał on mianowicie, że kółka wojskowe zdecydowane były na krótko przed ostateczną klęską, przystąpić do stosowania broni bakteriologicznej. Te doświadczenia zostały następnie uzupełnione dokumentami i zeznaniami świadków podczas procesu wytoczonego uczonym niemieckim w związku z pociągnięciem ich do odpowiedzialności za prowadzenie barbarzyńskich doświadczeń na osobach deportowanych i więzionych w obozach koncentracyjnych.

W badaniach swoich i praktycznym zastosowaniu, nie tylko nie pozostali w tyle, ale przewyższyli swoich mistrzów faszyzmu — faszyści japońscy. Przeprowadzony w roku 1949 w Chabarowsku proces przeciwko japońskim zbrodniarzom wojennym uodowodnił w sposób nierzeczywisty, że stosowali oni choroby zakaźne podczas prowadzonej wojny. Znany jest powszechnie fakt istnienia oddziału dla specjalnych poruczeń, znanego pod szyfrem 731, na czele którego stał osławiony zbrodniarz wojenny Shiro Ishii. (Obecnie znów w służbie amerykańskiej w Tokio). Oddział ten dokonywał prób, podczas których zginęło z górną 3000 jeńców chińskich oraz rosyjskich.

Właściwego rozpracowania metod i środków bakteriologicznego ludobójstwa i nadania im naukowo-technicznych podstaw podjęli się Amerykanie niezłownie, a chwila swego przystąpienia do ostatecznej wojny światowej. Wielkie „zakłady” na tym polu położył uczony amerykański dr Th. Rosebury, który był przez wiele lat szefem służby infekcji napowietrznej w Camp Detrick w stanie Maryland. Raport opublikowany przez niego w roku 1947 w „Journal of

Immunology”, tom. III str. od 7 do 96, zredagowany był już w roku 1942 i trzymany w tajemnicy przez cały okres minionej wojny. Zawiera on tezy wyjątkowo uzasadniające wojnę bakteriologiczną wraz z kompletnym regulaminem jej stosowania, dalej rozmaite rodzaje środków bakteriologicznych, odnośnie użycia ich wobec ludzi, zwierząt i roślin. Szczególnie silnie podnosi dr Rosebury wartość rozsiewania chorób epidemicznych za pomocą samolotu (z artykułu dr P. W. Briana, zamieszczonego w angielskim piśmie „Journal of the association of scientific workers” z marca 1950 r. str. 7). Wcielanie w życie jego praktycznych rad spotykamy obecnie na ziemiach bohaterkiej Korei i Chin Ludowych.

Jest już obecnie tajemnicą publiczną, że ośrodki studiów i zakładów bakteriologicznych znajduje się w Camp Detrick niedaleko miasta Frederick w stanie Maryland. Wyrażnie pisze o tym fakcie tygodnik amerykański „Life” dodając, że filie tych zakładów znajdują się nadto w stanach Indiana, (Vigo) Mississippi (Pascagoula) w Utah (Dugway) oraz w kanadyjskiej prowincji Alberta w miejscowości Suffield, wybudowane w latach 1943 i 44. Te ostatnie dla prób nad amunicją bakteriologiczną. Niezależnie od tego marynarka wojenna stworzyła sobie swoje własne laboratorium przy uniwersytecie kalifornijskim. Personel techniczny zatrudniony w powyższych zakładach obejmował już w owym czasie blisko 4000 osób.

W roku 1951 wyżył ową amerykańską zakład śmierci bakteriologicznej — Henderson, podkaszając szczególny rozmach i prace w Camp Detrick. (Według angielskiego pisma „Daily Express” z dnia 3 X 1951).

W piśmie amerykańskim „Saturday Evening Post” z dnia 24 III 1949 r. znaleźć można artykuł pt. „Bakterie to wielki interes”, w którym omawiany jest szeroko bakteriologiczny business amerykański. Czytamy tam m. in.: „Najmniejsza, a równocześnie najważniejsza komórka dla przechowywania kultur bakteriologicznych, znajduje się przy małej uliczce w Waszyngtonie — przy głównym gmachu rządu Stanów Zjednoczo-

Pochwała pracy korektorki

Na kartkę z liter szeregam
Pada Twój zawsze czujny wzrok,
Złoty snop światła głowę płata,
Gdy śledzisz myśli zwarty tok...

I słowem bladym niby dzieci
Wracasz ożywczą iskrą życia,
Odczuwasz piękno jak poeci,
Choć podpatrujesz świat z ukrycia.

Dłonią jak matka na ból czułą
Wyglądasz skazy naszej mowy,
Słowem kalekim skrzydła wracasz,
By głosić chwałę odbudowy.

Drobną cegielką żmudnej pracy
Wykuwasz w trudzie wspólne dzieło
I Twój wysiłek wiele znaczy,
Co serce z myślą zgodnie śpięło.

Dlatego rymem nieudolnym
Dziś pracę Twą radośnie cwałę
I w linotypów szeregach swawolny
Skladam codziennych zmartwień żale.

Na serca dnie myśl jedną pieszczę
Z uśmiechu znana mi dziewczyno,
Zrób z błędów życia mych korektę,
A słowa skrzydła znów rozwiną...

I będę chwalić radość życia,
Choć Tyś w szal nocy otulona
I szczęście czerpać nie z ukrycia,
Lecz brać z zachwytem świat w ramiona.

Kiedy więc księżyc w okno nocą
Zaglądać będzie do drukarni,
„Chochliki” w oczach zamigoczą —
Lekko je rączką z szpalt wygarnij...

A przyszłość będzie kartą białą,
Najmniejszy cień jej nie zamaże,
By każde z nas sens zrozumiało,
Iż praca z pięknem idzie w parze.

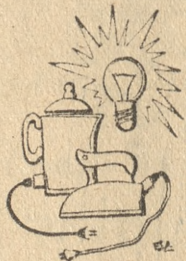
Bo uśmiech więcej nieraz znaczy
Niżeli szumnych słów kolumny,
Chwałę więc może Twojej pracy,
Pogodny zarys ust Twych dumnych...

I tak się sama rzecz układa,
O twórczej pracy ta ballada!

Człowiek zdobywa elektryczność

Gdziekolwiek spojrzymy
znajdziemy w nowoczesnym
mieście, lub obecnie także i
wsi, druty przewodzące prąd
elektryczny. Stał się on zja-
wiskiem powszechnym. Niko-
go nie dziwi, że wchodząc do
pokoju przekreśla się kontakt
i zapala światło. Bez więk-
szych emocji wsiada człowiek
do tramwaju lub elektrycz-
nego pociągu. Umiejętność za-
stosowania prądu elektrycz-
nego przez człowieka uczyniła
ogromny krok naprzód.
Elektryczność zdobyła świat.

Elektryczność zdobyła
świat? Popelniliśmy błąd. Ra-
czej należy odwrócić to po-



wiedzenie: świat zdobył elek-
tryczność.

Przyczyny błyskawicznej kariery

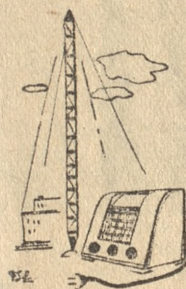
Nie musimy wymieniać
wszystkich, coraz to nowych
form użycia prądu elektrycz-
nego, jakie wprowadzono do
techniki w ciągu lat niewiele
przekraczających pół wieku.
Zastanówcie się sami. W wa-
szym mieszkaniu używa się
prądu nie tylko do oświetle-
nia. Służy on do ogrzewania
(żelazko elektryczne), czasem
odwrotnie — do chłodzenia
(lodownia), jako siły pędnej
(motorek odkurzacza, wenty-
latora), jako energii przetwa-
rzającej fale Hertza na głos
(radio), a dalej telefon,
dzwonek... To tylko drobny
wycinek codziennej pracy
elektryczności, jakże zniko-
my.

Elektryczność to najprak-
tyczniejszy, najtańszy, naj-
wygodniejszy i najsprawniejszy
sposób przekazywania e-
nergii; trzeba dodać — en-
ergii łatwej do przetworzenia.
Prąd zmienny o napięciu się-
gającym wielu tysięcy wolt
przesyłany jest na odległość

setek kilometrów. Porusza
fabryki, warsztaty, pojazdy,
oświetla mieszkania, topli ru-
dy w hutach, praży stal... No-
woczesna fabryka nie musi
budować ogromnych kotłów
parowych, motorów spalino-
wych, palenisk. Wystarczy
dołączenie do sieci i trans-
formator. Elektryczność za-
pewnia bowiem (przy praw-
idłowej budowie i obciążeniu
sieci) jednostajne natężenie
pracy, szybkość obrotów,
temperatury — przy równo-
czesnej taniości eksploatacji.
Oto przyczyny błyskawicznej
kariery prądu elektrycznego.

Są jeszcze trudności techniczne

Nie ma bardziej sprawnego
motoru od silnika elektrycz-
nego. Odnacza się on
kilkoma powszechnie znanymi
zaletami: szybkością obro-
tów, ekonomicznością, małym
procentem uszkodzeń, nie-
wielkimi rozmiarami objęto-
ści urządzeń i wielkim przy-
śpieszeniem. Silnik spalinowy
by osiągnąć pełną sprawność
musi się „zagrzać”. Maszyna
parowa wymaga wysokiego
ciśnienia pary w kotłach. Mo-
tor elektryczny jest gotów do
pracy w każdej chwili. Od
puszczenia silnika w ruch do
uzyskania pełnej szybkości
obrotów nie mija (przy naj-
większym obciążeniu) kilka



minut, a z reguły kilka lub
kilkanaście sekund.

Istnieją jednak pewne
trudności techniczne. Szczegół-
nie w zastosowaniu elek-
tryczności do trakcji. Zna-
ne są tramwaje, pociągi elek-
tryczne, trolejbusy a także
elektrowozy czerpiące prąd z
baterii akumulatorów. Oczy-
wiście te ostatnie byłyby naj-
praktyczniejsze, albowiem są

niezależne od instalacji sie-
ciowej. Jednak bateria zdol-
na poruszyć pojazd elektrycz-
ny na przestrzeni stu kilo-
metrów waży tyle (lub na-
wet więcej) ile reszta części
składowych. Nie rozwiązano
jeszcze problemu budowy
niewielkich, lekkich a pojem-
nych akumulatorów.

Oto przyczyna, dla której
dotąd nie zastosowano napę-
du elektrycznego do komuni-
kacji powietrznej. Cóż by to
była za wspaniała rzecz! Sil-
nik uzyskuje przy dużej mocy
z łatwością duże obroty,
nie ulega uszkodzeniom, jest
prosty w obsłudze. Niestety
— akumulatory są tak cięż-
kie, że obracane przez nie
śmigło nie udźwignęłoby sa-
mołotu w powietrz. Projekt
musi pozostać chwilowo w
sferze marzeń...

Nie tylko marzenia!

Marzenia? Wynalazczość
obleka je często w realne
kształty. Choćby przykład Ju-
liusza Vernego, którego fan-
tazje nabrały rzeczywistego
sensu.

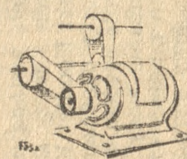
Radzieccy naukowcy zna-
leźli drogę wiodącą do po-
wszechnego zastosowania
prądu elektrycznego w trak-
cji lądowej, wodnej a nawet
powietrznej. Postawili sobie
zadanie: Jak przekazywać e-
nergię elektryczną bez drutu.

Wiadomo, że wokół przewo-
du, przez który przepływa
prąd wytwarzają się pola e-
lektryczne. Jeśli jest to prąd
zmienny, w zwojach drutu
(cewce) znajdującej się wo-
kół lub w pobliżu przewodu
powstaje prąd indukowany.
Jest to zjawisko, na którym
opiera się zasada transfor-
matora. Radzieccy naukowcy
postanowili znaleźć sposób
pozwalający umieścić drugą
część transformatora na „e-
lektrochodzie”, a kabel, przez
który przepływa prąd wyso-
kiej częstotliwości, poprowa-
dzić zakopany wzdłuż arterii
komunikacyjnych. W ten spo-
sób pojazd, swobodny w ope-
rowaniu na „elektroszosi”,
nie potrzebowałby akumula-
torów względnie urządzeń
zbierających prąd z sieci na-
powietrznej. W ZSRR jest już
jedna taka eksperymentalna
linia „wuczechodów” (wóz-
o napędzie elektrycznym
Wysokiej CZ-ęstotliwości).

Od kabla zakopanego w
ziemi do napowietrznego u-
mieszczonego na wysokich
masztach, wiedzie krótka
droga. Może niedługo linie
„wuczechodów” połączą regu-
larną komunikacją wszystkie
miasta? Podróż takim środ-
kiem lokomocji byłaby ber-
pieczna, bo możliwości usz-
kodzeń minimalne, a jeśli
ludzie znaleźliby sposób jesz-
cze tańszego niż obecnie zdo-
bywania elektryczności —
podróżowanie elektrycznymi
samolotami byłoby niesłycha-
nie tanie.

Gigant — elektrownia

Jak dotąd najbardziej gi-
gantycznym przedsięwzię-
ciem technicznym ludzkości
w zdobywaniu źródeł elek-
tryczności jest budowa zapo-
ry wodnej na Wołdze. Pro-
jektodawcy tej inwestycji
komunizmu powiżali kilka
problemów w jednym, dając
jedno rozwiązanie. Urucho-
mienie ogromnych zasobów
energii elektrycznej — cel
pierwszy; stworzenie wiel-
kiego basenu (Morze Cym-
lańskie) zmieniającego kli-
mat regionu — cel drugi;

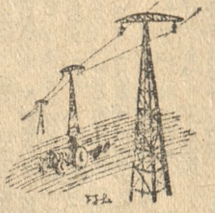


budowa kanału Wołga-Don
łączącego Morze Kaspijskie
z Czarnym — cel trzeci.
Oczywiście tego rodzaju
inwestycja ma rozmiary da-
leko szersze od „zwykłej”
zapory służącej, jak to zwy-
kle bywa, do regulacji rzeki
i wzniesienia elektrowni na
tamie. Elektrownia na Woł-
dze poruszać będzie przecież
tysiące fabryk! Setki miast
jarzyć się będą światłem pro-
dukowanym przez Wołgę.
Elektrownia świeci przyka-
dem śmiałości nowoczesno-

go, socjalistycznego czło-
wieka w zdobywaniu źródeł e-
lektryczności.

Warto przypomnieć

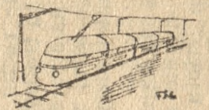
Trzydzieści lat temu, w
roku 1919, gdy na Moskwę



ze wszystkich stron maszer-
wali interwencji i wojska
białych generałów, Lenin wy-
głosił słynny referat o elek-
tryfikacji. Wielki wódz rewolu-
cji stał wówczas na mów-
nicy w zimowym palcie, bo
nie było w stolicy węgla, a
mroz w sal sięgał 10 stopni
poniżej zera. Lenin powie-
dzał wtedy znane słowa:
„Socjalizm jest to władza
radziecka plus elektryfika-
cja”.

W audytorium znajdował
się Radek, który — jak po-
kazują późniejsze wypadki
— należał do konspiracyjnej
grupy zwalczającej leninow-
skie kierownictwo partii bol-
szewickiej. Radek, chcąc o-
śmieszyć wspaniały plan elek-
tryfikacji nazwał go „elektro-
fikacją”. Dziś widać rezultaty
tej „elektrofikacji”. Refero-
wany przez Lenina w mro-
żnej sali ramowy projekt zo-
stał już w Związku Radziec-
kim dawno wykonany. Stał
się on podstawą socjalistycz-
nej rozbudowy przemysłu.

Przystąpiono do planów
połączenia zagadnień produ-
kcji prądu elektrycznego z
przeobrażeniem przyrody. Jó-
zef Stalin rzucił wytyczne
przedsięwzięcia, zmierzające-
go do uzyskania energii elek-
trycznej w nie spotykanych
dotąd rozmiarach. Bliski jest
już dzień, gdy turbozespoły



elektrowni wołańskich ru-
szą na pełnych obrotach.

Będzie to przykład, jak
człowiek może zdobywać elek-
tryczność — życiodajną krew
każdej fabryki, każdego mia-
sta.

J. M.

Lewomicetin nowy środek lecniczy

Słowa penicylina czy strep-
tomycyna nie wymagają już
bliższego określenia. Nauka
pracuje nad wynalezieniem
nowych antybiotyków. W
Związku Radzieckim dokona-
no w roku 1947 odkrycia tzw.
lewomicetinu, antybiotyku,
który okazał się doskonałym
środkiem leczniczym w cięż-
kich wypadkach duru brzu-
sznego, płamistego, dezyn-
terii, świnki, koklusu itp.

Lewomicetin jest substan-
cją stałą, krystaliczną, o go-
rzkawym smaku i może być
przyjmowany doustnie w po-
staci proszków, tabletek czy
żelatynowych kapsulek. No-
wy ten środek leczniczy nie
ulega działaniu kwasów żo-
łądkowych, a mimo to jest
łatwo wchłaniany przez or-
ganizm i po 2 godzinach da-
je się wykryć jego obecność
we krwi czy żółci.

Lewomicetin zdał już egza-
min doświadczeń klinicznych
i znalazł szerokie zastosowa-
nie w leczeniu w Związku
Radzieckim, tym bardziej,
że może być w przemyśle che-
micznym produkowany w do-
wolnych ilościach.

IR

SIEWCÓW MORU

nych. Władze respektują ją w
milczeniu i otaczają największą
troską. Tym więcej że jest to
proceder — lekko określane
nielegalny. W tym miejscu prze-
trzymuje się w próbkach z gó-
ra 3000 kultur śmiertelnych.”
Ostatnio podało inne pismo a-
merykańskie „Washington Post”

meryce nowa książka wspomni-
anego już dr. Th. Rosebury, pt.
„Peace or Plague” — Pokój czy
pomp. (Wyd. McGraw-Hill, New
York 1949, dollars 2.75). Wywołała
ona niemal wrzawy swoją o-
twartością w stawianiu zagad-
nienia przyszłej wojny bakterio-
logicznej. W okresie pisania owej

Widziałem już zdychające
myszy, ale nigdy nie ogląda-
łem jeszcze masowej śmierci
ludzi. Może się bowiem oka-
zać, że ludzie w równie łat-
wym stopniu umierają co i
myszy. Równocześnie jednak
może się okazać coś wręcz
przeciwego. Sedno sprawy
leży więc w podjęciu doświad-
czeń na wielką skalę.”

I jeszcze dalej:

„Możemy wprawdzie, co
już się stało, wybudować no-
we laboratoria dla prób nad
wojną bakteriologiczną. W
końcu jednak pozostaje jesz-
cze jedna wielka niewiada-
ma, czy wydatkowane w tym
celu pieniądze opłacą się.
Nawet przy ewent. wytracen-
niu jednej trzeciej ogółu
ludzkości...”

W połowie lipca 1949 w okre-
sie wypowiedzi dr. Rosebury, w
jednym z okęgów na dalekiej pół-
nocny ładu amerykańskiego wybu-
cha nagle epidemia dżumy. Pięć
plemion eskimoskich uległo pra-
wie zupełnej zagładzie. W tym
samym czasie dziwnym zbiegiem
okoliczności, bawiła w tych re-
gionach ekipa złożona z 60 ucz-
nych z uniwersytetu Columbia,
należących do oddziału bakterio-
logicznego, który jest na usług-
ach amerykańskiego ministerstwa
wojny. Prasa kanadyjska już
wówczas zastanawiała się gło-
boko nad dziwną bliskością — wy-
cieczki uczonych bakteriologów w
połączeniu z szalejącą epidemią
dżumy u Eskimosów.

Był amerykański minister o-
brony Forrestal (ten sam co skoń-
czył śmiercią samobójczą) oświad-
czył w dniu 12 III 1949 r., że jego
resort posiada już wykonany
plan wojny bakteriologicznej.

To samo oświadczył jego na-
stępca na fotelu wojennym John-
son stwierdzając w dniu 17 III
1950 r., że „Stany Zjednoczone
stałe pogłębiały studia nad wojną
bakteriologiczną i chemiczną o
świadczając te cieszę się moją
pełną aprobatą.”

Przed paru tygodniami odbyło
się w Kongresie amerykańskim
posiedzenie komisji finansowej.
przy dzwonił zamkniętych.

Przedmiotem obrad była sprawa
przyznania większych kredytów
na badania środków służących
wojnie bakteriologicznej. Przewo-
dzący tej komisji M. Sikes
podkreślił, że prowadzenie tego
rodzaju wojny „nie wymaga skom-
plikowanych urządzeń technicz-
nych” i określił ten szczegół w
następujących słowach:

„Dla zruczenia zabójczych
mikrobów na terytorium nie-
przyjaciela, wystarczy zupeł-
nie proste środki. Można u-
żyć do tego celu zwykłych
kanistrów, bądź pojemników,
jakich używa się np. do rzu-
cania materiałów propagan-
dowych.”

Potwierdzając następnie w swym
oświadczeniu, że Stany Zjednoczo-
ne posiadają w chwili obecnej
największą ilość zatrudnionego
personelu dla produkcji środków
bakteriologicznych, dodał:

„Stany Zjednoczone są za-
wsze pierwsze przy stosowa-
niu najnowocześniejszych
środków dla prowadzenia
wojny.”

Agencja France Presse doniosła
ostatnio, że budżet wojenny Sta-
nów Zjednoczonych pod pozycją
„wojna bakteriologiczna” otrzymał
dodatkowe kredyty.

Protokół genewski z dnia 17 VI
1925 roku dotyczący zakazu uży-
wania gazów chemicznych i środ-
ków bakteriologicznych — nie ra-
tyfikowały jedynie Stany Zjedno-
czone i Japonia. Te same — które
później stosowanie tej strasznej
broni doprowadziły do perfekcji.

Od 29 III do 1 IV br. obrado-
wało w Oslo Biuro Światowej Ra-
dy Pokoju. Centralnym zagadnie-
niem tej sesji było niebezpie-
czeństwo zagrażające ludzkości ze
strony broni bakteriologicznej,
która agresorzy spod flagi ONZ
użyli na ziemi koreańskiej i Chin
Ludowych. Z działalności Śwato-
wej Rady Pokoju związana są na-
dzieje milionów ludzi na całym
świecie. Dlatego wydana przez nią
odezwa wywołująca do zakazu sto-
sowania tej hańbiącej broi jest
wyrazem zbiorowej woli całego o-
bozu pokoju oraz groźnym ostrze-
żeniem z jego strony, skierowa-
nym pod adresem ludobójców.

Zebrał Jan Makowski



CENTRA PRODUKCYJNE BRONI BAKTERIOLOGICZNEJ W USA
Mapa, zamieszczona w „Humanité” (16 III 1952), wskazuje 5 cen-
trów: 1) w stanie Maryland — Camp Detrick, 2) w stanie Indiana
— Vigo, 3) w stanie Mississippi — Dasegoula, 4) w stanie Utah —
Dugway, 5) w prowincji — Alberta w Atlantce — Sullfield.

ze gen. Bullene, szef służby che-
micznej w armii Stanów Zjedno-
czonych zażądał w Kongresie,
podczas sesji zamkniętej, 17 mi-
lionów dolarów kredytu w celu
dalszej rozbudowy Camp Detrick.
Uległa one w roku 1953 wzrostowi
o wiele dziesiątków milionów do-
larów.

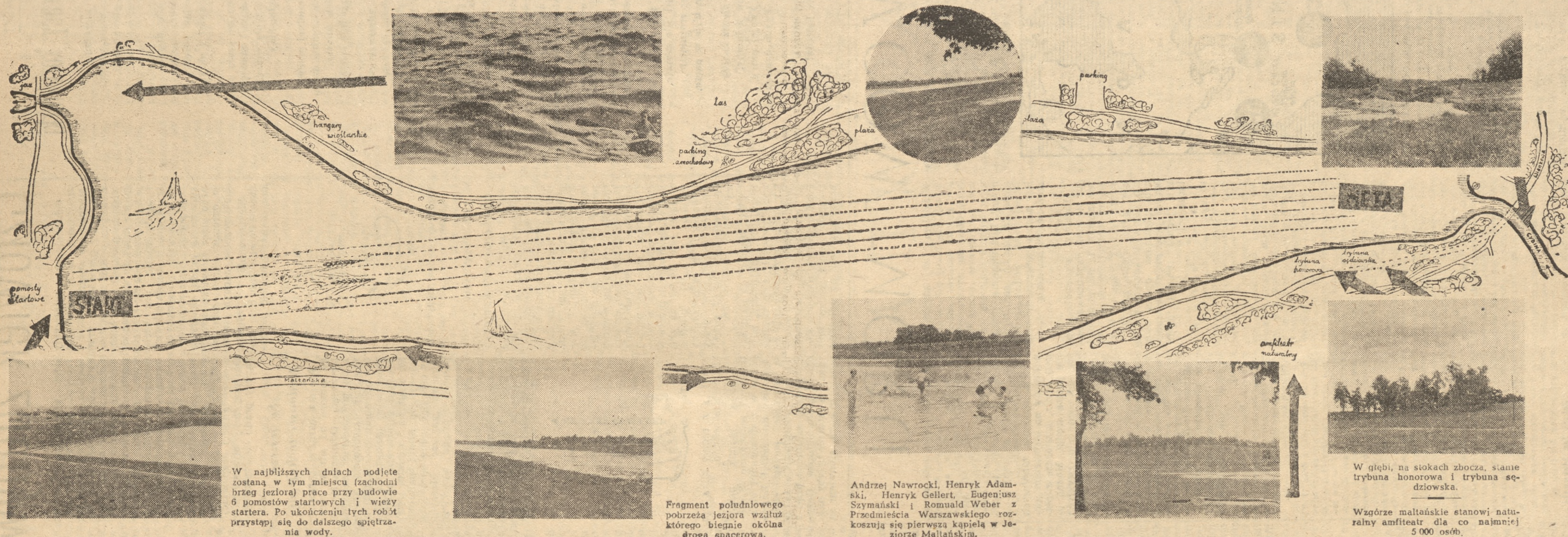
W roku 1949 ukazała się w A-

książki dr Rosebury był profes-
orem uniwersytetu Columbia — o-
becnie zaś jest szefem wydziału
wojny bakteriologicznej w ame-
rykańskim ministerstwie wojny.
Otóż ów „uczonek” w ten sposób
własza swoje „credo”.

Powinniśmy starać się w
naszych doświadczeniach sto-
sować większe wymiarki.

Duma Poznania — wspaniała inwestycja planu 6-letniego

Spiętrzają się wody Jeziora Maltańskiego



W najbliższych dniach podjęte zostaną w tym miejscu (zachodni brzeg jeziora) prace przy budowie 6 pomostów startowych i wieży startera. Po ukończeniu tych robót przystąpi się do dalszego spiętrzania wody.

Fragment południowego pobraża jeziora wzdłuż którego biegnie okólna droga spacerowa.

Andrzej Nawrocki, Henryk Adamski, Henryk Gellert, Eugeniusz Szymański i Romuald Weber z Przedmieścia Warszawskiego rozkoszują się pierwszą kąpielą w Jeziorze Maltańskim.

W głębi, na stokach zbocza, stanie trybuna honorowa i trybuna sędziowska.

Wzgórze maltańskie stanowi naturalny amfiteatr dla co najmniej 5 000 osób.

Napisał: Witold Józwiak
zdjęcia: Kazimierz Przychodzki

W odległości zaledwie 1 km w linii prostej od Starego Miasta powstaje sztuczne Jezioro Maltańskie. Piękna tafla wodna, niezwykle malowniczo odbija na tle wzgórz pokrytych bukietami drzew liściastych i rzędami smukłych sosen. Za kilka miesięcy, w okresie jesieni, piękno okolicy dopełnione zostanie przez krajobrazowe obsadzenie krzewami i drzewkami łagodnego pobraża jeziora. Wpływ jeziora na zmianę mikroklimatu miasta, ze względu na bliskość położenia, będzie b. znaczny. Odczują to mieszkańcy Poznania szczególnie w upalne dni lata. Zwilżone powietrze wpłynie korzystnie na zdrowotność okolicy, wzmacniając również w decydującym stopniu młodym wzrostem w tej części Parku Maltańskiego.

Prace przy budowie jeziora podjęto w roku 1947. Inicjatorem budowy był mgr inż. Bernard Lisiak, naczelnik b. Wydziału Ogrodów i Lasów Miejskich, obecny dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego w Poznaniu. Wystąpił on w drugiej połowie 1946 roku z inicjatywą kontynuowania robót rozpoczętych w dolinie Cybiny w czasie okupacji, kiedy to wykonano zaledwie 1/4 najłatwiejszego wykopu we wschodniej części jeziora. Trzeba było zatem rozpocząć prace od podstaw. Sporządzono według zaleceń inż. Lisiaka dokumentację techniczną.

Sprawą budowy jeziora zainteresowano wszystkie czynniki, które mogły pomóc w realizacji tej poważnej inwestycji. Dużą aktywność wykazały wówczas poznańskie kluby wioślarskie, silnie argumentując w WKKF i GKKE konieczność stworzenia tego nowoczesnego ośrodka sportów wodnych.

Prace ziemne przy budowie były bardzo żmudne. Z cenną pomocą przyszli junacy organizacji „Służba Polsce”, którzy w miesiącach letnich 1950 i 1951 roku wydobyli z dna jeziora ponad 40 000 m³ ziemi. W roku ubiegłym główne prace prowadzone były przy wznoszeniu w zachodniej części jeziora jazie. Harmonijna współpraca inż. Tadeusza Olszewskiego, inż. Serwackiego — specjalisty od spraw budownictwa wodnych z kierownikiem robót inżynierem Tadeuszem Szczepańskim i jego zastępcą Jerzym Kapelą oraz wysiłek załogi robotniczej z Zarządu Budownictwa Miejskiego nr 2 uwieńczyły zostały pełnym sukcesem. Zapórę wykonano w czasie przewidzianym w harmonogramie. 1 maja br. spadły pierwsze zasuwy. Rozpoczęło się spiętrzanie Jeziora Maltańskiego. Długość jeziora wynosi 2150 m.

Ponieważ maltański zbiornik wodny przedstawia również poważne znaczenie zarybieniowo-hodowlane, areal jego wód oddany został w zagospodarowanie

Polskiemu Związkowi Wędkarskiemu, który zarybił je dużą ilością pstrąga tęczowego (ca. 100 tysięcy). Niezależnie więc od wyzyskania jeziora dla celów hodowlanych, igrające i wyskakujące w pogoni za muszkami — pstrągi, przedstawiać będą dla spacerowiczów nie lada atrakcję. Szczególnie w czasie letnich wieczorów.

Obywatele miasta ze zrozumiałych względów okazują duże zainteresowanie końcowym etapem prac przy budowie jeziora. Z każdą niedzielą daje się też zauważyć coraz większe nasilenie ruchu wycieczkowego. Całe rodziny przyjeżdżają tu trolleybusami, by z bliska spojrzeć na jezioro, by nacieszyć się widokiem miejsca, które już niedługo zaroi się od wycieczkowiczów, szukających tu miłej rozrywki i wypoczynku.

Rozległa plaża pomieści do 50 000 kąpielowiczów. Tereń przeznaczony do kąpielii ciągnie się wzdłuż 500-metrowej zielonej plaży. Dno jeziora wysypane jest tutaj żwirem i piaskiem na przestrzeni 100 me-

trów od brzegu. Miejsce to stanowić będzie wymarzony teren dla amatorów kąpielii. Łagodny spad dna do głębokości 1,5 metra na skraju kąpieliskowego terenu w głębi jeziora, zapewnia całkowite bezpieczeństwo kąpiącej się młodzieży. Brak tego kąpieliska odczuwano w Poznaniu bardzo dotkliwie. Przyjeżdżający do plaży lasek, który ciągnie się od szosy Warszawskiej włączono do terenu parkowego. Służą on będzie jako naturalna osłona przed zbyt natrączywymi promieniami lipcowego czy sierpniowego słońca.

Całe jezioro okolone jest nie wykonaną jeszcze drogą spacerową. Od dwóch lat znacznie już zaawansowane w budowie aleje należałoby wykończyć jeszcze w tym roku. Do chwili uzyskania szczytowego poziomu jeziora usunięte zostaną wszelkie większe przeszkody z jego dna. Usunięte zostaną również sterczące fundamenty byłych 2 mostów cybańskich. Czekają na rozbiórkę resztki maszyny młyńskiej. Nieusunięcie do tej pory tego „zabytkowego” obiektu jest dużym niedopatrzaniem Centrali Złomu.

W ubiegły czwartek zakończono pierwszą fazę spiętrzania jeziora. Obecnie nadmiar wody przepływać już będzie przez jaz. W najbliższych dniach

podjęte zostaną prace przy budowie pomostów startowych i wieży startera. Należy sądzić, że Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej dołoży starań, by pomosty ukończono w jak najszybszym terminie. Jedynie bowiem od tych prac uzależnione jest dalsze spiętrzanie wody, co wynagradzić będzie jeszcze około dwóch miesięcy czasu, by uzyskać szczytowy poziom. Do połowy sierpnia, a więc do terminu między państwowego trójmecz żeglarskiego Polska — Węgry — Czechosłowacja, który odbędzie się na Jeziorze Maltańskim, wszystkie prace porządkowe będą ukończone.

Jezioro Maltańskie to jeden z największych i najnowocześniejszych w Europie torów regatowych, o długości 2000 metrów. Położone na skraju 600-hektarowej przestrzeni rezerwatu parkowego, zielonych pól wielkiego miasta, stanie się dla ludzi pracy Poznania ulubionym, uroczym miejscem wypoczynkowym. Jezioro Maltańskie to widomy znak troski państwa ludowego o podniesienie zdrowotności naszych miast, włączenie go do inwestycji planu 6-letniego, dzięki usilnym staraniom Prezydium Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej, stworzyło możliwość wcześniejszej realizacji budowy tego wspaniałego obiektu.